

HUCZKA

□

Dla prawdziwych dzikarzy huczka to ten czas łowieckiego sezonu, w którym nic się nie liczy oprócz nocnej włóczędzy po łowisku w poszukiwaniu watahy, w której króluje ten nasz nieuchwytny przez cały rok odyniec.

Przełom listopada i grudnia daje już możliwość dobrego polowania w lesie, większość liści już opadła, noc jest długa a wysoko stojący księżyc daje wystarczająco dużo poświaty. Często występują przymrozki a czasem już nawet niewielka pokrywa śniegu, jednak to także czas mgieł i pluchy.

Z pogodą jest zatem różnie, ale instynkt zachowania gatunku jest taki sam od tysiącleci i nic go nie zmieni. W lesie trwają dzicze gody.

W moim myśliwskim życiu było wiele nocy, które spędziłem w lesie podążając krok w krok za huczkową watahą. Bywało tak, że kończyło się to sukcesem ale bywało i tak, że pozostawały w wyobraźni jedynie przesuwane się obrazy czarnej kotłowaniny, przesywające odgłosy dziczego wesela i potworne fizyczne zmęczenie po godzinach napięcia i przemierzonych po leśnych duktach kilometrów. Dziki, które są niezwykle ostrożne i czujne przez cały rok, które wyposażyła natura w najczulsze zmysły słuchu i węchu, w okresie huczki zmysły te wyłączają. Zapominają, że w ogóle je mają. Niestraszny jest im huk strzału, a często nawet ten okropny smród człowieka. Ci, którym dane było się znaleźć w środku dziczego stada odbywającego gody mogą to na pewno potwierdzić. Zapewne potwierdzą również, że mimo, iż w czasie huczki watahy przemierzają las tam i z powrotem, są takie części rewiru, które szczególnie sobie upodobają i właśnie tam jest zawsze większa szansa na spotkanie.

Co by nie mówić i pisać o huczce to i tak żadnymi słowami nie da się opisać scenerii a przede wszystkim odgłosów wesela. Kwiki, piski, charkoty, trzaskanie szablami i ciągła bieganina trwa nieprzerwanie. Krótkie chwile ciszy są tylko wtedy gdy w końcu odyniec dopadnie lochy, albo gdy wataha przemieszcza się.

Polowanie na dziki w czasie huczki to dla mnie osobiście zenit sezonu łowieckiego, także dlatego że tylko w tym czasie, nie licząc na przypadek ani łut szczęścia, można wypracować sobie strzał do orężnego odyńca. Huczka to misterium, w którym uczestniczę od lat i zawsze będzie to dla mnie apogeum sezonu.

Niwki to niewielka wioska położona wśród lasów, niespełna kilkanaście kilometrów od Opolą a znana z tego, że tu urodził się i mieszkał nasz znakomity, niestety przedwcześnie zmarły, kolarz Joachim Halupczok – mistrz świata w kolarstwie szosowym. Znałem Achima osobiście, bo znałem bardzo dobrze jego ojca Ryszarda, który był wówczas strażnikiem w naszym kole łowieckim. Dzisiaj Niwki są już mocno zabudowane ale dwadzieścia lat temu pola i ściany lasu były otwarte dla zwierzyny i jedynie w jednym miejscu było kilka altanek i ogródków działkowych. Niwki i pobliska Bocianka czyli śródleśna około 100 hektarowa enklawa łąk, były jednymi z lepszych rewirów KŁ „Szarak” w Opolu.

1 grudnia 1985 roku to data, którą długo będę pamiętał. W dzień trochę padał deszcz i trochę śnieg a temperatura zbliżona była do zera. Wieczorem było byle jak, ale wiedziałem, że jest pełnia i mimo takiej dżdżej pogody na łąkach i polach będzie jednak coś widać. Taka pogoda miała jednak dla mnie dwa pozytywy. Po pierwsze znacznie łatwiej po mokrym podchodzi się zwierzynę a po drugie niewielu myśliwych decyduje się na nocne polowanie w takich warunkach. Można więc obejść znacznie większy teren.

Wyjeżdżając w teren nie przewidziałem tylko jednego. Za miastem nad polami i łąkami ścieliła się mgła. Niby nie za duża, bo widać było na kilkadziesiąt kroków ale jednak to nie jest największy przyjaciel myśliwego. Wiemy doskonale wszyscy, że w takich warunkach lepiej widać gołym okiem niż patrząc przez lornetkę, że nie wspomnę już o lunecie.

Z relacji kolegów wiedziałem, że huczka jest w pełni. Po przyjeździe do łowiska upewniłem się, że jak na razie jestem sam. W książkę zgłoszeń wpisałem Bocianka – Niwki i pojechałem.

Wyszedłem na łąki Bocianki. Nie było dobrze. Łąki spowite były gęstą mgłą. Po kilku minutach gdy wzrok przyzwyczał się do ciemności, stwierdziłem że można coś zauważyć na 20 - 30 kroków i to tylko tuż przy ścianie lasu. Uznałem, że tutaj sytuacja jest beznadziejna i nie ma co marnować czasu.

- Na pola Niwek mam kilometr przez las. Przejdę i zobaczę, może mgła jest mniejsza – pomyślałem.

Dobrze, że Bociankę znałem jak własną kieszeń, bo mgła gęstniała z sekundy na sekundę i szedłem jak w puchowej pierzynie a jedynym drogowskazem była wyjeżdżona w drodze koleina, w którą miałem utkwiony wzrok jak sroka w kość.

Byłem tak skupiony na pilnowaniu koleiny, że dopiero po pewnej chwili od usłyszenia dziwnego dźwięku skojarzyłem, że to był chyba kwik dzika. Zatrzymałem się i zacząłem nasłuchiwać. Stałem w środku ogromnych łąk i poza czubkami swoich filcaków niewiele więcej widziałem.

Za chwilę kwiczenie powtórzyło się. Trwało długo i nie miałem już żadnych wątpliwości, że na łące jest huczkowa wataha. Jak daleko ode mnie, z której strony tego już nie wiedziałem. Stałem i nasłuchiwałem ale czułem się coraz bardziej nieswojo. Wataha wyraźnie zbliżała się do mnie, teraz już wyraźnie odróżniałem kwiki uciekającej młodzieży jak i charakterystyczne rechtanie odyńca. W ciągu najbliższej minuty znalazłem się w środku watahy. Dookoła biegały dziki, odyniec gonił i pewnie krył lochę a ja stałem w środku i nie widziałem swojej ręki. Jak byłem spięty zorientowałem się dopiero w chwili gdy gwałtowne fuknięcie, może dwa a może trzy metry ode mnie, aż mnie rzuciło i wprowadziło w drżenie. Jeszcze dwa, trzy kolejne fuknięcia i wszystko uciszyło się. Stałem dalej jak wryty, ale powoli uspokajałem się. Sięgnąłem po papierosa i gdy zapalałem go ponownie usłyszałem kwik, ale już znacznie dalej ode mnie. Powoli schodziło ze mnie powietrze. Uświadomiłem sobie, że przez moment byłem w środku buczkowej watahy i miałem dużo szczęścia, że żadem dzik po prostu na mnie nie wpadł. Pewnie nie zjadłby mnie ale obaj bylibyśmy mocno przestraszeni.

Jeszcze dobrą chwilę po wypaleniu papierosa stałem i nasłuchiwałem czy aby wataha nie wraca ale panowała cisza. Ostrożnie ruszyłem naprzód i po kilku minutach dotarłem do ściany lasu a po przejściu kilkadziesiąt kroków przekonałem się, że w lesie mgła jest znacznie mniejsza. Trochę podniosło mnie to na duchu.

Przejście trzech oddziałów do Niwek zajęło mi kilkanaście minut. Jeszcze przez wyjściem na pole sprawdziłem kierunek wiatru. Wiatr, choć słaby, miałem dobry. Ostrożnie wyszedłem na ścianę lasu i przelornetowałem najbliższe pole. Z zadowoleniem stwierdziłem, że mgły jest tu znacznie mniej i jakby powoli rozchodziła się. Nadal jednak widać było nie dalej jak na sto metrów. Duktem pod lasem ruszyłem w stronę Niwek, do których miałem około 300 metrów. Krok po kroku, bezszelestnie posuwałem się do przodu. Po przejściu kilkudziesięciu metrów moją uwagę przykuły dziwne cienie we mgle przy pojedynczej dzikiej jabłoni rosnącej na znanej mi miedzy. Gdy zbliżyłem się nieco zagadka szybko rozwiązała się. To chmara czterech byków wyszukiwała na miedzy ostatnie spady jabłek. Ostrożnie, wykorzystując ścianę lasu, minąłem byki i doszedłem do wsi. Popatrzyłem na zegarek. Była północ.

- Mogę jeszcze spokojnie z godzinę posiedzieć na ambonie – pomyślałem.

- We wsi cicho i sennie a mgła coraz mniejsza – sam dopingowałem się do pozostania jeszcze w łowisku.

Teraz już dość szybko poszedłem w stronę najbliższej ambony, która znajdowała się za zabudowaniami naszego strażnika łowieckiego Rysia Halubczoka. W polu widzenia na polach było pusto. Po kilku godzinach chodzenia już bardzo chciało mi się usiąść i zdjąć z ramienia sztucer. Nie miałem do ambony dalej jak dwadzieścia kroków, gdy dobiegł mych uszu okropny kwik dzika. Tak jakby ktoś go mordował. W pierwszej chwili byłem nawet zdezorientowany bo równie dobrze mógł być to kwik świni z pobliskich gospodarstw ale kiedy za moment nastąpiła powtórka mogłem już jednoznacznie zlokalizować skąd głos dochodzi. Dziki były w lesie, ale tuż za pobliskimi domkami letniskowymi.

Błyskawicznie dopadłem ambony, wdrapałem się na górę i oczekiwałem na rozwój wypadków. Wnęka przy lesie była wolna od mgły i w duchu bardzo chciałem aby dziki wyszły właśnie w tym miejscu. Czasami św. Hubert wysłucha myśliwego i pewnie to był ten dzień, a raczej noc. Minęło kilka minut i na ugór, który znajdował się we wnętrzu pól wysypało się kilkanaście sztuk czarnego zwierza. Wataha była cały czas w ruchu ale wyraźnie przesuwała się w stronę kartofliska, które znajdowało się przed moją amboną.

Pierwsze na pole wbiegły warchlaki i przelatki. Usiłowały rozpocząć buchtowanie, ale było to prawie niemożliwe ponieważ potężny odyniec nieustannie gonił lochę, która uciekając przez natrętem stale wpadała pomiędzy młodsze dzicze towarzystwo. W watasze były jeszcze trzy większe dziki, myślę że to także były loszki.

Dziczemu weselu stale towarzyszyły charakterystyczne odgłosy pokwikiwania i rechtań rozognionego odyńca. Teraz i ja byłem jak w amoku. Nie wiedziałem czy zdecydować się na stosunkowo łatwy strzał do przelatki czy jednak spróbować strzelić tego niespotykanego u nas w łowisku odyńca. Pomyślałem, że być może to moja jedyna szansa na takiego dzika i zdecydowałem się na strzał do odyńca. Niestety łatwo było podjąć decyzję, ale realizacja okazała się znacznie trudniejsza. Odyńiec był stale w ruchu goniąc lochę lub tnąc przeszkadzające mu przelatki. Gdy na moment zatrzymał się, zanim zdążyłem odłożyć lornetkę i wziąć sztucer mój odyńiec już był w innym miejscu. A przyrzekłem sobie w duchu, że do takiego zwierza oddam tylko absolutnie pewny strzał. Sytuacja ta trwała już dobrych kilka minut i nic nie zapowiadało, że za chwilę wszystko zmieni się całkowicie. Mój krążący za swoją wybranką odyńiec nagle stanął jak wmurowany. Podniósł wysoko gwizd i silnie wietrzył gdzieś w kierunku pół. Odruchowo skierowałem tam lornetkę i w szklach, jeszcze dość daleko zamajaczyła mi sylwetka pojedynczego dzika. Mój odyńiec gwałtownie ruszył do przodu i po przebiegnięciu około 20 metrów ponownie zatrzymał się. Dzik z naprzeciwka dalej równym jednostajnym krokiem szedł na spotkanie z moim odyńcem. Nie miałem pojęcia czy to pojedyncza locha poszukująca kochanka czy może inny odyńiec. Za moment wszystko było już jasne. Na środku pola doszło do niesamowitej walki dwóch odyńców

a odgłosy walki świadczyły o jej niezwyklej zaciętości. Działo się to wszystko może sto metrów od watahy, która teraz rozproszyła się po polu i najspokojniej w świecie buchtowała kartofliko. Ja jednak nie odrywałem lornetki od oczu. Odyńce kręciły się jakby wokół jakiejś niewidocznej osi i usiłowały ciąć rywala w szynki lub słabiznę. Od czasu do czasu mój odyńiec, który był wyraźnie większy zdobywał przewagę i intruz salwował się ucieczką, ale nie dalej jak dziesięć, piętnaście metrów i znów stawał do boju. Z czasem jednak przewaga stawała się coraz większa i w końcu intruz zaczął uchodzić w kierunku lasu, w kierunku buchtującej watahy i mojej ambony. Władca watahy naciskał go bardzo mocno ale gdy dobiegł do watahy ogromnie zmęczony, zdyszany i wyczerpany po zwycięskim boju zatrzymał się śledząc wzrokiem uchodzącego rywala. Przegrany zatrzymał się jeszcze ostatni raz przed ścianą lasu i obrócił w kierunku watahy. Wtedy dosięgnęła go moja kula. Za kilka chwil na polu i w lesie nastąpiła absolutna cisza. Tak jakby nic tu się nie wydarzyło. Tylko przez moje ciało stale jeszcze przechodziły dreszcze a w zaparowanych szklach lornetki nie byłem w stanie dostrzec leżącego odyńca.

Tę grudniową noc 1985 roku na łąkach Bocianki i na polach Niwek będę pamiętał do końca swojego łowieckiego żywota. Odyńiec ważył 94 kg, miał oręż na brązowy medal, a na szynce trzydziestocentymetrowe rozcięcie i zwisający płat skóry i mięśni wielkości dwóch dłoni, efekt stoczonego pojedynku.

